

Cud miłości

Lekarze nie potrafili postawić diagnozy blisko 10 lat. Przez ten czas Wiesława Jagoda z Wejherowa żyła, a jakby nie żyła. Dziś mówi, że najtrudniejsze chwile pomógł jej przetrwać oddany mąż. A organizm odżył dzięki Alveo.



Wiesława jest jak dom. Zniszczony przez huragan dom, który po remoncie na nowo nabrał blasku. Dziś mówi, że gdyby chorobę, która dręczyła ją przez 10 lat, lekarze zdiagnozowali wcześniej, może nie byłaby przez ten czas wrakiem człowieka, może nie odczułaby, co to znaczy stracić nadzieję. Ale stało się inaczej. Stwierdzono, że dolega jej nerwica i właśnie leki na nerwicę serwowano jej pięć lat. Gdyby nie to, nie dopadłoby ją zapalenie mięśnia sercowego ani zapalenie żołądka, ani uszkodzenie nerek. Gdyby, gdyby...

Musiały minąć lata, by dowiedziała się, że to, co tak śmiertelnie toczy jej organizm, w podręcznikach medycyny zapisane jest jako – nomen omen – toczeń rumieniowaty układowy. Choroba nieuleczalna. I jedyne, co można z tym zrobić, to poprawić sobie komfort życia i sprawić, że nie będzie boleć każdy krok, każde mrugnięcie okiem. Że całe życie nie będzie bolało. Że da się z tym żyć.

Nieszczęścia chodzą parami?

Może nawet trójkami. Tak można powiedzieć, gdy myśli się o życiu Wiesławy. Oprócz dolegliwości wywołanych przez toczeń miała jeszcze immunologiczne zapalenie tarczycy i anemię spowodowaną niedoborem żelaza. – Toczeń to zapalenie tkanki łącznej – tłumaczy Wiesława. – Organizm wytwarza przeciwciała zamiast do walki z chorobą – do walki z samym sobą. Ale o tym, że jestem chora na toczeń, dowiedziałam się po latach. Świat zawałił mi się w oczekiwaniu, aż ktoś zdiagnozuje mój stan. Czuję się słaba i zmęczona. Nie mogłam pracować, nie mogłam podołać obowiązkom. Rodzina mówiła: weź się w garść. A ja nie miałam siły... Wylądowałam w szpitalu. Pierwszy raz, drugi, trzeci... Kilka razy w roku przez osiem lat. To, co mi tam aplikowali, to było jak wymiana oleju, trzeba było uzupełnić niedobory żelaza, magnezu, potasu czy wapnia. W tym roku – pierwszy raz od tyłu lat – nie była w szpitalu.

Po co żyć?

Te ostatnie kilka lat jej życie rozgrywało się na bocznym torze. Skończyły się normalne dni wykształconej, ambitnej kobiety, która ma rodzinę, dwójkę dzieci, na głowie cały dom i chęć robienia tysiąca cudownych rzeczy. – Właściwie nie wiedziałam, po co żyć – wyznaje Wiesława. Miała 34 lata. Za sobą dwa fakultety, pracę na budowie elektrowni jądrowej w Żarnowcu, dziesiątki stanowisk i satysfakcję, którą teraz mogła schować głęboko do szuflady, a może nawet wyrzucić do kosza na śmieci. Jeszcze zanim choroba rozszalała się na dobre, żeby się ratować zmieniła zawód, pracowała jako kurator społeczny. Próbowала brać życie w karby. Ale nie dała rady. Codzienna wędrówka od lekarza do lekarza i żaden nie potrafił powiedzieć, co się z nią dzieje. Tymczasem z dnia na dzień było coraz gorzej. – W domu nie radziłam sobie w ogóle – pamięta Wiesława. – Mąż mi pomagał, wspierał. Był troskliwy i oddany. A ja musiałam leżeć, nie byłam nawet w stanie dojść do toalety. Rozpaczałam, że życie mi umyka, że czas przepływa mi przez palce. Czulość męża nie pozwoliła jej się jednak poddać. – Nikt nie rozumiał tego, co ona przeżywa – mówi mąż Wiesławy, Leszek. – Nikt nie potrafił jej pomóc. Ani lekarze, ani znajomi. I ja czułem ogromną niemoc, mo-

głem ją wspierać tylko dobrym słowem. Nasze życie legło w gruzach. Plany, praca społeczna, moje studia, marzenia, nasz spokój i radość życia – to wszystko rozplynęło się w powietrzu.



